Ner 11. Kraków, dnia 16go Czerwca 1876. Rok VIII.

WŁOŚCIANIN.

Pismo dla ludu.

Włościanin wychodzi 1go i 16go każdego miesiąca. — Włościanin kosztuje rocznie Złr. 3 w. a., półrocznie Złr. 1 cen. 50, kwartalnie cen. 75. — Ktoby sobie życzył przesłać z przedpłatą na „Włościanina“ zarazem i przedpłatę na „Zagrodę“ — płaci za oba pisma: rocznie Złr. 4 cent. 60, półrocznie Złr. 2 cent. 30, kwartalnie Złr. 1 centów 15. — W Prusach i w Poznańskiem kosztują 3 talary.

(Zagroda wychodzi 8go i 24go każdego miesiąca.)

Kalendarz.

17. P. Aleksego i Berty.	21. P. Dan. i Kamilla.
18. W. Szymona z Lipn.	22. S. Maryi Magdal.
19. Ś. Wincent. a Paul.	23. N. 7 po Św. Teofila.
20. C. Czesława i Kass.	24. P. Krystyny p.

Adres: Do redakcyi „Zagrody“ Ulica św. Jana, Kącik Ner 320.

Straszna popełniona zbrodnia.

Syn mego brata.

Wyznanie samego zbrodniarza, które za panowania Karola II-go w więzieniu znaleziono.

Byłem porucznikiem, odbyłem wyprawy w roku 1677 i 1678 za granicą. Po traktacie podawszy się w odstawkę, udałem się o kilka mil na wschód od Londynu do małéj majętności, którą z posagu mojéj żony przed wystąpieniem z wojska kupiłem.

Dzisiejsza noc jest ostatnia dla mnie, piszę więc prawdę bez wszelkiéj osłony. Nigdy nie byłem uczciwym człowiekiem, i od samego już dzieciństwa dawałem oznakę skrytego, podejrzliwego charakteru. Mówię o sobie, jak gdybym już rozstał się ze światem, bo w tejże chwili, gdy to piszę, już dla mnie drób kopią i w czarną księgę śmierci zapisują nazwisko moje! Wkrótce po moim do Anglii powrocie, mój brat zapadł w słabość śmiertelną, co mnie mało lub wcale nic nie obchodziło, gdyż od czasu jakeśmy dojrzałego doszli wieku, rzadkośmy bywali z sobą, a jeszcze rzadziéj zgadzaliśmy się w naszém zdaniu. On był otwarty, szlachetny i przystojniejszy odemnie, posiadał większe talenta i był powszechnie kochany. Osoby, które za granicą lub w ojczyźnie starały się dla tego zabrać ze mną znajomość, że były z nim w przyjaźni, rzadko kiedy przywiązywały się do mnie na czas długi, i zaraz w pierwszéj rozmowie okazywały swe zdziwienie, że my dwaj bracia, tak wielce od siebie się różnimy. Ja sam je wprowadzałem najczęściéj na to zeznanie, gdyż byłem o tém przekonanym jakie między nami oboma chcąc nie chcąc, musiano czynić różnicę; a że w mém sercu tkwiła zawiść, przeto przeciw własnemu sumieniu starałem się ją usprawiedliwić.

Żony nasze były sobie rodzonymi siostrami. A ten węzeł, zamiast że nas miał jeszcze mocniéj połączyć, bardziéj nas jeszcze od siebie oddalał. Żona brata mego była przenikliwą i wskróś mnie przejrzała. Ile razy we mnie skrycie zazdrość, gniew i oburzenie wrzały, nigdy to nie uszło jéj oka. Ile razy w takim stanie wzrokiem na nią rzuciłem, widziałem, że jéj oczy były we mnie wlepione; bylem wzrok spuścił, bylem w inną spojrzał stronę, zaraz dostrzegłem, że na mnie miała pilne baczenie. Było to dla mnie niewymowną rozkoszą, gdyśmy się pokłócili, a jeszcze większą, gdym się za granicą dowiedział, że umarła. Jeszcze teraz mi się wydaje, jak gdyby już podówczas ciężyło w nas niesłychane i straszne przeczucie tego, co późniéj nastąpić miało, podobne do niedojrzanego widma, które z przyszłości w obecność zagląda. Zawszem się jéj czegoś obawiał, ona zawsze się wzdrygała na mój widok, i teraz jeszcze widzę przed sobą jéj wzrok mocno utkwiony we mnie, który mnie jak przypomnienie okropnego snu ściga i krew w żyłach mojich ścina!

Wkrótce po wydaniu na świat syna, umarła, a gdy brat mój uczuł, że i jemu się wszelkich nadziei wyzdrowienia zrzéc wypada, wezwał do siebie żonę moją, i poruczył swojego syna, czworo-letnie dziécię jéj opiece. Zapisał mu wszystek swój majątek, z tym dodatkiem, by takowy na przypadek śmierci dziécięcia, na znak podzięki za troskliwość i przywiązanie, przeszedł na żonę moję. Poczém przemówił do mnie kilka słów tkliwych, i ubolewając nad tak długim naszém rozdziałem, gasnąc na siłach,

západł w sen, z którego się już nie przebudził.

My nie mieliśmy dzieci, a że obydwie siostry z największą tkliwością się kochały, a żona moja już nieraz przedtém temu chłopcu miejsce matki zastępowała, przeto kochała go jak swoje własne dziécię. Jakoż i chłopiec był do niéj mocno przywiązany, ale tak co do wzroku jak i umysłu, był to wierny wizerunek swéj matki, nie lubił mnie i nigdy mi nie dowierzał.

Nie umię dokładnie wynienić czasu, w którym się to uczucie po raz pierwszy we mnie ocknęło, ale wkrótce doznawałem jakiejś przykrości, gdy to dziécię przy mnie obecne było. Ilekroć z ponurnego dumania się otrząsłem, postrzegałem, że chłopiec mnie uwarzał, a to nie z dziecinném zdziwieniem, ale z jakimsiś zamiarem i oznaczeniem, co już w jego matce spostrzegałem. Nie byłto bynajmniéj skutek fantazyi mojéj, dla wielkiego podobieństwa rysów matki z rysami twarzy jego. Nie mógłem nigdy skłonić chłopca tego, aby wzrok w ziemię spuścił. Zawsze się mnie lękał, ale oraz z powodu jakiegoś wewnętrznego popędu swego zdawał się mną pogardzać, a nawet wtedy, gdy mojego wzroku unikał, — co się często zdarzało, gdyśmy jeden przeciw drugiemu stali — nawet wtedy, gdy wychodząc, do drzwi się zbliżał, nie spuszczał nigdy ze mnie aby na chwilę przenikliwego wzroku swego.

Może sam przed sobą taję prawdę, ale nie sądzę, abym już zaraz z początku miał jaki zamiar wyrządzenia mu krzywdy. Prawda, iż nie raz o tém myślałem, jak pożądaném byłoby dla nas dziedzictwo jego, prawda, żem sobie życzył, aby ten chłopiec umarł, ale to rzecz pewna, żem nie myślał nigdy odbierać mu życia. Jakoż myśl ta nie przyszła mi od razu do głowy, lecz zwolna i z czasem; myśl ta nasuwała się. Z początku mówię, nasuwała się jakby z jakiegoś oddalenia, jak niewyraźna mglista postać jakaś, podobnie, jakbyśmy sobie trzęsienie ziemi lub sąd ostateczny wyobrażali, lecz z czasem coraz bardziéj zbliżać się zaczęła, i pomału utracała w swéj okropności i niepodobieństwa do prawdy; późniéj stała się częścią, nareszcie całą treścią i osnową moich codziennych marzeń, a nakoniec przyszło zapytanie: jakimby sposobem najbezpieczniéj tego dokonać można, nie zaś, ażali to się godzi lub nie godzi.

Gdy się mi takie myśli po głowie snuły, nie mógłem znieść, iż dziécię uważało, żem poglądał na niego, a przecież jakiś niezbędny popęd zmuszał mię ustawicznie przypatrywać się téj mdłéj i złomnéj postaci, i myśleć sobie, że mi bardzo łatwo przyjdzie odebrać mu życie. Czasem wkradałem się po cichu do pokoju, gdzie był chłopczyna i wlepiałem w niego wzrok, lecz po większéj części zaczajałem się w ogrodzie niedaleko okna tego pokoju, w którym on ucząc się zadanéj lekcyi, na krzesełku przy mojéj żonie siedział. Tak patrzyłem nań po całych godzinach z po za drzewa, a poczuwając się do winy, chociaż na każdy szelest listka się wzdrygnąłem, jednakże zawsze znowu podkradałem się za drzewa dla zaglądnienia do pokoju i wlepienia wzroku mego w chłopca.

W pobliskości naszego domu, był staw dość duży i głęboki, którego z poza drzew widać nie było. Niemało czasu łożyłem na to, abym wyżłobił czółenko, które dla dziécięcia na zdrade zostawiłem na drodze. Poczém schroniłem się do méj kryjówki, koło któréj chłopiec koniecznie przechodzić musiał, jeżeliby się kiedy dla puszczenia na wodę téj małéj łodzi, z pokoju wymknął. Tak ukryty czatowałem na jego przyjście. Ale chłopiec ani w tym, ani w następnym dniu nie przyszedł, chociaż ja od południa do wieczora nań czekałem. Wiedziałem bardzo dobrze, żem go już w moją siatkę złowił, gdyż słyszałem go mówiącego o czółenku, i powiedziano mi także, iż zabawkę tę przyjął z wielką radością. Uzbrojony w cierpliwość czekałem, jak myśliwy na pojaw zwierzyny; aż oto dnia trzeciego nadbiegł chłopiec wesoło i przesunął się z pośpiechem po przed moją kryjówkę. Jak jedwab miękkie włosy jego, igrały z wiatrem, i zarazem śpiewał sobie wesołą piosnkę, chociaż jeszcze słów dokładnie wymawiać nie umiał.

Puściłem się za nim; zacząłem pełzać po nad krzewy staw otaczające, i tylko złym duchom wiadomo, w jaki sposób wyśledzić chciałem nad brzegiem stawu ślady jego. Ujrzałem go nareszcie pod krzakiem puszczającego łódkę na wodę. Przypełzałem ku niemu i podniosłem się na kolana, i jużem był podniósł rękę, aby go w staw wtrącić, aż oto chłopiec postrzegłszy cień mój w wodzie, nagle ku mnie się zwrócił.

Z ócz jego patrzył duch jego matki. Słońce wyszło z poza chmury i rozjaśniło strumieniem swego światła pogodne niebo, zielone niwy, czystą jak krzyształ wodę, i szklące się po listkach krople dészczu. Wszystkie przedmioty tchnęły życiem, wszystek świat otworzył oczy, aby przypatrzyć się zabójstwu! Nie pamiętam, co chłopiec rzekł w téj chwili. Pocho

dził on z rycerskiéj walecznéj familii, a chociaż był dzieckiem, nigdy się nie ugiął przedemną, nigdy mi nie pochlebiał. Nagle usłyszałem go mówiącego, iż będzie się starał kochać mnie; to rzekłszy, puścił się pędem do domu. Myśl krwawobójcza odebrała mi zmysły—nie pomnę co się zemną stało — ocknąwszy się, ujrzałem miecz w mém ręku—i zabitego chłopca u nóg moich. Był on cokolwiek krwią zbryzgany, lecz zresztą wyglądał tak niewinnie, jak go nieraz śpiącego widywałem, nawet i teraz miał twarz na swéj ręce opartą.

Podniosłem go z ziemi, i położyłem lekko i ostrożnie, już nieżywego, w gęstym krzaku.—Żona moja tego dnia nie była w domu i dopiero na drugi dzień powrócić miała. Okno w naszéj sypialni, jedno tylko, które wychodziło po téj stronie na ogród, nie było wysokie; postanowiłem przeto wyjść przez to okno w nocy z pokoju, i zakopać chłopca w ogrodzie. Nie pomyślałem o tém, że plan mój może mię zawieść, że staw spuszczą i nic nie znajdą, że pieniądze nietknięte pozostawić należy, gdyż ułożyłem rozsiać domniemanie, że się dziécię zabłąkało lub skradzionem zostało. Wszystkie myśli moje zlały się tylko w tę jednę konieczność, skryć przed światem to, com uczynił!

Co się we mnie wtedy działo, gdy domownicy ze smutném doniesieniem do mnie przyszli, że dziecięcia nigdzie znaleść nie mogą, gdyż ich dla szukania go na wszystkie strony porozsyłałem, gdy kto do mnie się przybliżył, z zalęknienia zaledwo odetchnąć mogłem — a wewnętrznego stanu mego żaden język wysłowić, ani dusza ludzka wyobrazić sobie nie zdoła! Zakopałem chłopca téj saméj nocy; ale gdym odginając gałęzie spojrzał w środek ciemnego krzaka, zaświecił mi w oczy robaczek świętojański; promienił się on jakby widomy duch Boży nad zamordowaném dziecięciem. Odwróciłem oczy i uniosłem ofiarę. Gdym w grób spojrzał, w który chłopca włożyłem, robaczek świecił jeszcze na jego piersiach, jak ogniste oko w niebo patrzące i wzywające gwiazd, które na krwawy czyn mój z góry poglądały!

Powróciła i żona, musiałem jéj oznajmić tę smutną wiadomość i uspokajałem ją nadzieją, że dziécię wkrótce się wynajdzie. Czyniłem to wszystko pozornie, jak gdyby w tém było podobieństwo udając smutek głęboki— i nikt nie miał na mnie najmniejszego podejrzenia. Potém usiadłszy przy oknie w sypialni patrzyłem dzień cały w to miejsce, gdzie moja straszna tajemnica ukrytą była. Tém miejscem była jedna część ogrodu, którą kilką dniami wprzód w zamiarze wyłożenia jéj nowém darniem, skopać kazałem; obrałem na grób umyślnie to miejsce, aby na niém ślady mego rydla nie pozostały. Ludzie, którzy darniem je wykładali, mogli mnie mieć za szalonego, że ich tak bez ustanku do pośpiechu napędzałem i sam wraz z nimi darń udeptywałem. Przed nadejściem wieczora skończyliśmy robotę; poczém w porównaniu z przeszłą niespokojnością, cokolwiek się bezpieczniejszym uczułem.

Zasnąłem, ale nie tak, jak ci, którzy po przebudzeniu się, swobody umysłu i rzeźwości doznają; sen mój był dla mnie niewysłowioną męczarnią; byłem pastwą najokropniejszych widziadeł; śniło się mi, że mnie ścigają, że mnie pod topor wiodą; darń krwią zbryzgana, stawała mi przed oczyma, a z niéj to ręka, to noga, to głowa stérczała! Wtedy przebudziwszy się, gorącym potem oblany, podskoczyłem do okna dla przekonania się, ażali istotnie tak się nie dzieje. Tak spędzałem noce całe, niemal dziesięć razy zrywałem się i znowu kładłem do łóżka; ale tenże sam sen zawsze mnie ścigał bez ustanku, co mi większą katuszą było, niźli czuwanie, gdyż w każdym pojedyńczym śnie, całéj nocy okropność i męczarnia była zawartą. Jednego razu śnilo mi się, że dziécię jeszcze żyje, żem bynajmniéj nie miał myśli odebrania mu życia. Jakżem w tym śnie był uszczęśliwiony, jakiejżem nie uczuwał radości. Ale przebudzenie się ze snu tego, było dla mnie najokropniejszém ze wszystkich uczuć! Drugiego dnia usiadłem znowu przy oknie i nie mógłem odwrócić oczu moich od miejsca pokrytego darniem, w którém zawsze jak najwyraźniéj grób widziałem, chociaż miejsce to całkiem było zrównane i zieloną trawą pokryte. Gdy który z służących tamtędy przechodził, obawiałem się, aby się nie zapadł; gdy przyszedł, patrzyłem i przekonywałem się ażali grobu nie wydeptał. Jeżeli na tém miejscu usiadł ptak jaki, obawiałem się, aby w jaki niespodziany sposób nie stał się przyczyną odkrycia méj zbrodni; gdy na tém miejscu wiatr zaszumiał, zdawało mi się, iż szeptał o zabójstwie! Słowem, wszystko com widział albo słyszał, choćby to była rzecz najzwyczajniejsza i najmniejszego znaczenia nie mająca, napełniało mnie zgrozą i przestrachem. W takim stanie ciągłego patrzenia się w to miejsce, trzy dni spędziłem.

Dnia czwartego przybył przed bramę mego domu pewien człowiek, który wraz ze mną służył wojskowo za granicą, a za nim oficer,

którego wcale nie znałem. Byłem ich obecnością mocno zmieszany, albowiem czułem, iż niepodobieństwem będzie dla mnie puścić z oczu owo tajemnicze w ogrodzie miejsce. Byłoto pod wieczór w letniéj porze, kazałem więc moim ludziom przynieść stół i kilka butelek wina do ogrodu. Postawiłem moje krzesło na grobie i usiadłszy w tém przekonaniu, żem go w ten sposób od odkrycia zabezpieczył, usiłowałem pić i rozmawiać z moimi gośćmi.— A że żona moja była zatrudniona domem i nie była naszéj rozmowie obecna, musiałem zatém drżącym głosem opowiedzieć co się stało z dziécięciem? Oficer, którego nie znałem, był bardzo cichy człowiek, i w czasie naszéj rozmowy wciąż miał w ziemię spuszczone oczy. Co mnie wielkiem strachem nabawiało. Nie mógłem sobie wybić z głowy téj myśli, że on w tém miejscu coś spostrzegł, poczém się prawdy domyśla. Zapytałem go z pośpiechem, czy pan może sądzisz, że... i umilkłem. „Że to dziécię zabito?“ odrzekł, spojrzawszy na mnie łagodnie. „Ach bynajmniéj,“ odrzekł, cóżby ten człowiek zyskał na tém, któryby to niewinne dziécię ze świata zgładził?“ Jabym był mógł powiedzieć mu najlepiéj co ten ten człowiek przez zabójstwo zyskał, ale umilkłem i drżałem jakby mną zimna dreszcz trzęsła. Goście uważali z innego względu tę niespokojność moję i zaczęli mnie pocieszać nadzieją, że się chłopiec jeszcze wynajdzie; byłoby to okropną pociechą dla mnie pomyślałem sobie — aż oto nagle usłyszeliśmy jakieś wycie w oddaleniu. i w téjże saméj chwili dwa wielkie brytany wskoczyły przez mur do ogrodu i zaczęły znowu skomleć i wyć jak wprzódy, tylko daleko głośniéj i przeraźliwiéj.

„Sąto brytany, wyuczone węchem krew wietrzyć,“ rzekli moi goście.

Potrzebaż było powiadać mi o tém! W życiu mojem takich psów nie widziałem, odrzekłem, a przecież poznałem odrazu, czém są i czego szukają w tém miejscu. Z konwulsyjném natężeniem pochwyciłem moje krzesło, nie mówiąc ani słowa i nie ruszyłem się z miejsca. „Są to psy doskonałéj rasy,“ rzekł człowiek, którego za granicą poznałem, „i zapewne jakiemu stróżowi z domu umknęły.“ Tak on, jak i przyjaciel jego poglądali za psami, które przytykając nozdrze do ziemi, nie zważając na nas bynajmniéj, podobnie jak piekielne duchy, bez spoczynku w około biegały. Niekiedy wznosząc mordy do góry, ponawiały straszne, przeraźliwe szczekanie, poczém przytykając znowu nozdrze do ziemi, nieustannie wszędzie wietrzyły. Nakoniec zaczęły jeszcze z większą pożądliwością niż w przódy, obwąchywać ziemię; a chociaż jeszcze nie stały na jedném miejscu, jednakże nie kołowały już tak szeroko i zaczęły się zbliżać coraz bardziéj do mego miejsca i coraz bardziéj zcieśniać okręg między mną a sobą. Nakoniec stanęły tuż przy wielkiém krześle, na którém siedziałem, i zawywszy jeszcze raz przeraźliwie, starały się oderwać drewniane w krzyż idące podnóże u krzesła, które im jeszcze ziemię odgrzebywać przeszkadzało. Jak ja przytém wyglądanem, poznałem to po twarzy i spojrzeniu dwóch ludzi, którzy przy mnie obecni byli.

„Psy te jakąś zdobycz zwietrzyły,“ rzekli goście jeden do drugiego. „Nie zwietrzyły żadnéj zdobyczy!“ odrzekłem: „Przebóg!“ wstań pan z miejsca, rzekł ten, którego znałem, dobitnym głosem, „bo go te psy rozszarpią!“ „Choćby mnie na sztuki rozszarpać miały, nie ustąpię z tego miejsca!“ odrzekłem. „Mająż psy wskazywać ludzi na śmierć haniebną? Posiekajcie, porąbcie je w kawałki! Tu się jakaś okropna zbrodnia stała rzekł oficer, którego nie znałem, i dobył szpady. „Imieniem króla wzywam waćpana, abyś mi pomógł przytrzymać tego człowieka.“ Na te słowa wzięli mnie obadwaj, i mimo największego oporu z mojéj strony, poprowadzili z sobą. Po niejakiéj walce wzięli mnie spokojnie w środek między siebie, i wtedy, ach miłosierny Boże! widziałem, z jaką zażartą chciwością brytany ziemię rozgrzebywały.

Cóż tu więcéj mam powiedzieć? Rzuciłem się na kolana i drżącym głosem wyznałem prawdę. Późniéj wyparłem się mojéj zbrodni, ale teraz ją wyznaję znowu. Po ścisłych badaniach uznano mnie winnym, i na śmierć skazano. Nie miałem tyle odwagi przez samobójstwo zapobiedz téj hańbie, albo ją znieść ze stałością. Nie wzbudziłem w nikim litości; nie mam ani przyjaciół, ani pociechy, ani żadnéj nadziei. Żona moja na szczęście swoje, nie dożyła sromoty swego męża! Zostaje samotny między témi murami, jedynie zdręczącém mnie sumieniem a jutro — czeka mię topor katowski!

Weście sobie do serca przykład téj prawdziwéj historyi drodzy Bracia którzy tego „Włościanina“ czytacie, a zwłaszcza wy drodzy Przyjaciele — którzy się opiekujecie sierotami po waszych zmarłych, drogich Braciach lub Siostrach nieróbcie im ktrzywdy, — i nie czychajcie na ich majątek po ich Rodzicach pozostały, ale im go dochowajcie w całości póki do swoich lat nie dojdą, a Bóg najwyższy Stwórca wam

drodzy Bracia za to w waszéj starości stokrotnie wynadgrodzi, czego wam z całego serca życzę wasz brat. *A. K.*

Straże ogniowe ochotnicze.

Jedną z najpożyteczniejszych instytucji, którą każda gmina posiadać powinna, jest Straż ogniowa ochotnicza. Ciągłe doświadczenie przekonało nas, iż dobra wola pojedynczych jednostek nie połączonych w jedno kółko, stowarzyszenie i ograniczonych témsamem na swą własną wolę i osobistą siłę niezdoła walczyć z pomyślnym skutkiem z ogniem tak, jak tego z łatwością grono stowarzyszonych ludzi dobréj woli dokonywać zwykło. —

W większych miastach i miasteczkach naszego kraju istnieją prawie już wszędzie Straże ogniowe ochotnicze, dlategotéż mieszkańcy tamtejsi nie czują obawy o swe życie i mienie; po wsiach jednakże, gdzie tego okazuje się konieczna potrzeba, mało gdzie takie Straże istnieją. Przypuszczać ani na chwilę niemożemy aby który z naszych czytelników nie uznawał pożyteczności i konieczności takich stowarzyszeń po wsiach — gdzie życie i mienie mieszkańców pozostawione jest na łasce losu, dlatego téż poruszamy tę sprawę w nadziei, iż głos nasz wszędzie posłuch należyty znajdzie. —

Chcąc utworzyć w gminie Straż ogniową ochotniczą, trzeba, aby jeden z członków gminy mający zaufanie u reszty mieszkańców a nadto obeznany choć trochę z tego rodzaju instytucjami — (najodpowiedniejszym w tym wypadku będzie nauczyciel miejscowy) — w wolnéj chwili obeznał całą gminę z pożytecznością Straży ogniowéj ochotniczéj, przedstawił im smutne skutki wynikające z braku odpowiedniéj obrony ogniowéj, nareszcie zawezwał ich do związania się w jedno kółko (stowarzyszenie Straży ogn. ochotn.) którego celem będzie obrona od *ognia życia* i wspólnego *mienia*. — Skoro do stowarzyszenia przystąpi odpowiednia ilość mieszkańców, natenczas najwięcéj obeznany z działalnością Straży, występować będzie odtąd jako naczelnik téjże, zarządzając nią wszechstronnie. — Po utworzeniu takiéj Straży będzie obowiązkiem naczelnika postarać się o najpotrzebniejsze narzędzia służące do gaszenia ognia jakoto: o sikawkę trwałą i praktyczną, beczki, toporki i inne narzędzia, które on według potrzeb miejscowości uzna za potrzebne. O fundusze, których w tym celu potrzeba będzie uda on się w formie prośby do gminy, rady powiatowéj albo téż nawet i do sejmu. Skoro to wszystko wykonane zostanie, naczelnik straży uda się do najbliższego miasteczka lub miejscowości, gdzie podobna Straż już dawniéj istnieje z wezwaniem, aby nadesłano do gminy członka Straży, któryby członków nowoutworzonego stowarzyszenia należycie w obronie od ognia wyćwiczył. Pomocy takiéj udzielają sobie wszystkie Straże ogn. ochotn. nawzajem bezpłatnie.

W ten sposób zorganizowana Straż będzie prawdziwie pożytecznym nabytkiem dla gminy; W miarę potrzeby, może się na utrzymanie takiéj Straży składać kilka sąsiednich gmin, przezco uposażenie jéj będzie trwalsze. —

Sądzimy, iż głos nasz nie będzie głosem wołającego na puszczy, témbardziéj iż w obecnym wypadku powodować powinna każdym miłość bliźniego jakotéż troska o własne dobro.—

Wszelkich szczegółowych wyjaśnień na każdorazowe zapytanie udzielimy z chęcią. —

Wychodźtwo ludu galic. do Ameryki.

Między ludem wiejskim zachodnich okolic naszego kraju a mianowicie w powiatach jasielskim, pilznieńskim i tarnowskim, objawia się od lat kilku agitacja emigracyjna, która ostatniemi czasy tak znaczne przybrała rozmiary, tak wiele pociągnęła za sobą nieszczęśliwych ofiar, że uważamy to za obowiązek prasy zwrócić uwagę publiczną na ten objaw szkodliwy i usiłowania władz poprzeć głosem publicznéj przestrogi. Wieśniak nasz z natury swéj silnie przywiązany jest do rodzinnej ziemi a w charakterze jego nie ma wcale owych instyktów awanturniczych, którym za ciasno w obrębie własnéj zagrody i własnego kraju, jedynym tedy powodem tej manji wychodźtwa i to wychodźtwa do Ameryki jest rzeczywiście tylko lekkomyślna a niekiedy nawet niesumienna i wprost karygodna agitacja, dla egoistycznych celów lub dla nikczemnych, szalbierczych zysków, zdradzająca naiwną łatwowierność naszego ludu.

Pierwsze ślady tej agitacji pojawiły się się w roku 1873. Podczas gdy przedtem nie słyszano niemal nigdy o włościańskich wychodźcach, dążących do Ameryki, spotykamy obecnie zbyt często w dziennikach zagranicznych wiadomości o całych gromadach wieśn.aczych rodzin z Galicyi, które w drodze do Ameryki

nie dostawszy się nawet do któregoś z portów europejskich, padają ofiarą ostatecznej nędzy i ratowane być muszą od głodu datkami litościwych cudzoziemców lub zasiłkiem poselstw i konsulatów austryjacko-węgierskich. Z Berlina, Hamburga, Liwerpolu i z wielu innych miast otrzymaliśmy takie doniesienia — a wszędzie były to wieśniacze rodziny z okolic Jasła lub Pilzna.

W kwietniu wzywało w Berlinie litości 38 wychodźców galicyjskich, między którymi były i drobne dzieci. Nieszczęśliwi ci, zbałamuceni przez niesumiennych agentów, dostali się już byli do Hamburga, zkąd, jak ich łudzono mieli bezpłatnie odpłynąć do Ameryki; ogołoconych z wszelkich środków nietylko do podróży ale i do życia, odstawiono ich napowrót do Berlina, gdzie zajęła się nimi ambasada austryjacka wysyłając ich na Wrocław i Bogumin do Galicji. Do Liwerpolu przybyło dnia 8 maja 66 wychodźców galicyjskich z powiatu jasielskiego, głównie z gminy Osobnica i włości przyległych. Gromadka ta, w której było 16 kobiet i 34 dzieci, przybyła w ostatniej nędzy do wspomnionego miasta, a gdyby nie opieka konsula austryjackiego i szlachetna pomoc tamtejszego dobroczynnego towarzystwa, ludzie ci zrozpaczeni, nie znający języka, upadający z głodu i znużenia stać by się byli musieli ofiarami najsroższej, niewypowiedzianej niedoli. Dla nikczemnego zysku, wyprawił tych biednych włościan pewien szalbierczy agent emigracyjny z Hamburga do Liverpolu, wyłudzając od nich na przewóz grosz ostatni pod pozorem, że z Liverpolu odwiezie ich inny statek bezpłatnie do Ameryki.

Cały ten ruch wychdźczy, który w Jasielskim i Pilznieńskiem dotąd się objawia w sposób niemal niepokojący, rozpoczął się w roku 1873, a pierwszym jego inicjatorem był niejaki ksiądz Orzechowski, misjonarz z okolic Jasła, który przesiedlił się do Ameryki i ztamtąd systematycznie prowadził ów niesumienny werbunek, w którym przy doskonałej znajomości lokalnych sosunków jasielskich okolic pomagali mu namówieni przez niego egenci, najczęściej ludzie podejrzani, którzy niestety wybornie wyzyskiwać umieli i umią łatwowierność i ciemnotę ludu. Kilku co najśmielszych uległo pokusie i dotarło do Ameryki, a odtąd agitacja stawała się silniejszą i skuteczniejszą. Zaczęły nadcnodzić w Jasielskie listy z zamorza, pisane niby przez owych pierwszych wychodźców, a w listach tych obok bajecznych obietnic szczęśliwości i cudownych błogosławieństw dobrobytu znajdowało się zawsze w roli najsilniejszego, najwymowniejszego argumentu po kilka nowych, złotych dolarów... Listy biegły z ręki do ręki, ze wsi do wsi, z jarmarku na jarmark, a wraz z nimi krążył lśniący, ważny dolar, złota rękojmia szczęścia bez trudu; bogactw bez pracy, które czekają wszystkich w cudownej krainie za dalekiem morzem.

Tym sposobem stało się że niektóre wsie opanowane zostały formalnym szałem emigracyjnym. Z samego Dębowca odjechał do Ameryki przed miesiącem transport włościan liczący 97 osób! Władze krajowe, śledząc ruch ten czynią wszystko, co tylko leży w obrębie prawnych środków, aby zapobiedz tej manji emigracyjnej, która formalnie zarazą chodzić poczęła po ciemnych i łatwowiernych umysłach. Przekonano się, że propaganda emigracyjna liczy wcale pokaźny zastęp, **apostołów**, że podsycana bywa listami z Ameryki i podszeptami agentów hamburskich, którzy obiecują swym pokątnym agentom w Galicyi po 20 złr. od każdego zwerbowanego wychodźcy.

Najruchliwszym z tych agentów był pewien neofita, wróżbita, nosi przezwisko B o ż k a — i ten to Bożek pozyskany najpierw przez ks. Orzechowskiego, namawiał lud do wychodźtwa, któremu wytykał także cel religijny, to jest zatknięcie krzyża na bezludnej ziemi, utworzenie nowych gmin chrześcijańskich za Oceanem. Poczęły się rozbiegać między ludem modlitwy, wyłącznie dla wychodzców pisane, modlitwy „cudowne“, które miały służyć za talizman w przeprawie do nowego świata. A ten świat nowy poczęli malować agenci jako krainę szczęśliwości i rozkoszy, jako ziemię obiecaną, gdzie używanie nie idzie w parze z troską, bogactwa urastają bez potu... Ziemia to mlekiem i miodem płynąca, złoto samo się rodzi, rola nie potrzebuje uprawy; „rośnie tam drzewo — cytuje jeden z tych agitatorów — rośnie drzewo, która dość nożem zaciąć, aby mleko obfitym strumieniem spływało, rośnie drugie, z ktrórego uciąć kawałek i w piec tylko wrzucić, a w piękny, wonny chleb się przemieni“.

Władze krajowe z największą czujnością śledzić będą tę agitację, która obecnie objawia się już i w powiecie tarnowskim, ale usiłowania ich muszą znaleść jak najszersze poparcie we wszystkich kołach, które wpływają na lud i w częstszej z nim zostają styczności. Władze przeszkadzać mogą ruchowi emigracyjnemu tylko w obrębie środków prawnych i z uszanowaniem konstytucyjnej swobody osobistej, a środki te nie wystarczą, jeśli nie poprą ich wszyscy ludzie dobrej woli, żyjący między ludem. Przeciw agitacji pokątnej, nieuchwytnej, nurtującej głucho pomiędzy ludnością, potrzeba przeciwdziałania wszystkich, których obchodzi los bałamuconych prostaczków. Trzeba, aby wpływ władzy został poparty wpływem duchowienstwa, obywateli, nauczycieli ludowych, rozumnych mieszczan, całej zgoła inteligencyi tych okolic, trzeba aby przekonywano bałamuconych wieśniaków, że wybierając się po złoto i rozkosze, idą w nędzę, nieszczęście, w rozpacz a może i śmierć głodową na śmiecisku pierwszego miasta portowego, że pozbywają się mienia swego na rzecz oszustów, którzy traktują ich jak niegdyś traktowano murzynów, uważają ich za zwykłą ładugę okrętową, a wyłudziwszy ostatni grosz od swych ofiar, rzucają na pastwę ostatecznej nędzy. Dla wszystkich prawdziwych przyjaciół ludu w tych okolicach jestto pole do prawdziwej zasługi — a wszystkie galicyjskie pisma i wydawnictwa ludowe spełniłyby pięknie swe zadanie, gdyby się przyczyniły z swej strony do przekonania ludu w wspomnianych powiatach, że ulegając namowom do wychodźtwa, skazuje się sam na opłakaną niedolę bez ratunku, i staje się po prostu łupem nikczemnych oszustów. —

Co słychać w świecie?

Sprawa Wschodnia. — W ciągu tego tygodnia zdarzyło się wszelako nie jedno. Była już chwila, iż książe Gorczaków miał zamiar postawić wszystko na kartę. Dnia 4 Czerwca oznajmił jednemu z dyplomatów, „że wciągu ośmiu dni może nastąpi pierwsze star-

cie krwawe serbsko-tureckie. Daléj twierdził, iż mocarstwa północne odmówią uznania nowemu sułtanowi nawet w takim razie, gdyby inne trzy mocarstwa uznanie swoje dały. Austrya miała ponownie zająć przychylne stanowisko względem powstańców, t. j. miała mniéj surowo przestrzegać granic i zamknąć zatokę Kleku, a Czarnogóra z Serbią miały wystąpić do boju.

W sprawie tej bowiem chodziło nie o to, jak mylnie podawano, ażeby zapewnić jednéj stronie gwarancye, ale głównie o to, ażeby nowy sułtan uznał uroczyście memoryał berliński, które to uznanie ostatecznie otwierało widoki mieszania się mocarstw w sprawy wewnętrzne Turcyi.

Gorczaków chciał w ten sposób utworzyć sobie dla kroków w przyszłości podstawę prawną. Moskwa zatém, jak z tego wynika, stała upornie przy swoich planach i wtedy jeszcze, kiedy cały świat mniemał, że plany te rozbiły się. Jakoż Gorczaków byłby w samój rzeczy uparł się przy memoryale berlińskim, gdyby ze strony gabinetów austryackiego i berlińskiego nie były go spotkały stanowczo i bardzo ostre zarzuty. Car rzekł do kanclerza, że Rossya jest dosyć silną, ażeby módz okazać i pobłażliwość, i że sobie życzy zgodności i spokoju, odparł Gorczaków: że usłucha rozkazu carskiego, ale Moskwa powinna w utrzymaniu pokoju mieć wolną wolę. Nie powinna ulegać, i dlatego należy utrzymać memoryał berliński. Niechaj go wprzód zaakceptuje sułtan, a wówczas dopiero może samodzierzca moskiewski okazać wspaniałomyślne (?) swoje życzenia, okazać łagodność iwzględność (!) — To wpłynęło o tyle na cara, że dnia 7 czerwca wyraził się przed jednym z dyplomatów włoskich, iż jeżeli Gorczaków nie chce postradać łaski carskiéj, to niech się cofnie z obranéj drogi. — Tymczasem zatem można obwieścić światu, że trójcesarskie przymierze trwa niezachwianie, a raczéj wegetuje i nadal, i że akcya dyplomatyczna została „odroczoną.“

Galicya. — Smutna wiadomość o jakiéj donosimy Wam, kochani czytelnicy, jest o licznych w Galicyi pożarach, które miały miejsce w ostatnich czasach. I tak dnia 1 Czerwca w Husiatynie wybuchł gwałtowny pożar. Całe miasto było w wielkiem niebezpieczeństwie. Ogień zniszczył tam 60 domów, dachy na kościele i plebanii, aptekę i budynek rady powiatowéj, i byłby jeszcze więcéj się rozszerzał, gdyby nie to, że z drugiego Husiatyna, będącego pod Moskalem, przybyła pomoc z dobremi sikawkami. Wreszcie już o saméj północy spadł deszcz ulewny, który do reszty ugasił ogień.

Straty ztąd wynikłe obliczają na 250 tysięcy złr. Cesarz dowiedziawszy się o klęsce Husiatyna, łaskawie ofiarował ze swéj własnéj szkatuły 1500 złr. na pogorzelców. Nie małe także szkody poczynił pożar, jaki przy końcu zeszłego miesiąca nawiedził Delatyn. Spłonęło tam jedenaście żydowskich domów, łaźnia i bóżnica. Straty wynoszą do 6.000 złr. W Samborze znowu od piorunu zgorzała chata włościańska — w Beswinie spalił się młyn, w Borszczowie folwark żydowski, w Turce plebania ruska, w Płużowie włościanka, nazwiskiem Anna Moskalowa, przez zemstę podpaliła chatę rodzonego brata. Jak więc widzimy klęski są liczne i musimy ustawicznie modlić się do Boga, aby większych jeszcze na nas nie zsyłał.

Turcya. — Dawny sułtan Abdul-Azzis, jak już wiecie, nie żyje. Wszyscy głośno mówią, że nie on sam sobie odebrał życie, ale go po prostu zamordowano. Może to i prawda, bo u Turków jest zwyczaj, że dwóch sułtanów w jednym czasie żyć nie może. Nowy władzca Turcyi, Murad V, o ile się pokazuje, nie będzie szedł śladem Abdul-Azzisa; jest więc nadzieja, że burza, na którą się na Wschodzie zanosiło, skończy się na niczem. Zwykle to z wielkiéj chmury mały deszcz bywa. Murad słucha chętnie Anglii, a za to stroni od Moskwy, która z całéj téj sprawy, jak mówią: odeszła z kwitkiem. Dziś już i Serbia i Czarnogóra, które podburzane przez Moskwę, lada chwila gotowe były wybuchnąć przeciw Turcyi, widząc, że na Rossyę trudno liczyć, oświadczają, iż nie myślą wystąpić nieprzyjacielsko przeciw Turcyi.

Rozmaitości.

— **Po drugi raz ogłaszamy Wam szczegóły o zakładzie w Drochowyżu abyście z niego korzystali.** Wiadomo Wam zapewne, bo już o tém pisaliśmy, że hrabia Stanisław Skarbek, umierając, prawie cały swój majątek oddał na dobroczynne i szlachetne cele. Jedną właśnie z takich fundacyj ś. p. hr. Skarbka jest zakład w Drohowyżu w powiecie Żydaczowskim. W zakładzie tym znajdują pomieszczenie chłopcy i dziewczyny sieroty, które podczas swego pobytu tutaj, oprócz wiktu, ubrania i wszelkich innych wygód, otrzymują co najważniejsza, odpowiednią naukę, sposobiąc się przytém do pewnych zawodów na przyszłość. A więc chłopcy uczą się rozmaitych rzemiosł, dziewczęta zaś — robót kobiecych i gospodarstwa domowego. Corocznie przyjmują do pomienionego zakładu pewną liczbę dzieci, stósownie do tego, na ile się znajdzie miejsca. W tym roku 60 dzieci może znaleść pomieszczenie. Dla tego też zarządzający zakładem Drohowyzkim ogłaszają, co następuje:

Zakład przyjmować będzie dzieci obojéj płci, religii chrześciańskiéj, bez względu na miejsce ich urodzenia i stan, jeśli tylko pochodzą z rodziców w Galicyi stale zamieszkałych. Pierwszeństwo mają ślubne lub nieślubne dzieci, bez ojca i matki, nie mające wcale żadnego majątku dostatecznego na swoje utrzymanie, ani krewnych, ktérzyby z prawa do utrzymania ich byli obowiązani i ten obowiązek spełnić mogli. Tylko w razie, gdyby nie było dostatecznéj liczby sierót, przyjmowane będą dzieci, mające wprawdzie rodziców, ale tak ubogich, iż nie są w stanie dzieci swych utrzymać. Chłopcy, którzy mogą być do zakładu przyjęci, winni mieć najmniéj siedm zaczętych, a najwięcéj dziesięć lat ukończonych, dziewczęta zaś najmniéj sześć zaczętych, a najwięcéj ośm lat ukończonych.

Zwierzchność gminna, opiekun, a względnie rodzice, lub osoba prywatna, pragnący w zakładzie umieścić dziecię, mają imieniem tegoż wnieść prośbę do Dyrekcyi Zakładu sierót i ubogich w Drohowyżu, (poczta Mikołajów), załączając następujące dokumenta:

a) świadectwo ubóstwa, wydane przez zwierzchność gminną i miejscowego plebana;
b) metrykę chrztu;
c) świadectwo zdrowia, wydane przez lekarza;
d) świadectwo szkolne, jeśli dziecko w szkolę publicznéj nauki pobierało.

Zaopatrzone powyższemi dokumentami prośby wnosić należy najpóźniéj **do 1 Lipca r. b.** Podania wniesione późniéj będą mogły być dopiero w następnych terminach przyjmowania sierót uwzględnione.

Wnoszący prośby zostaną w należytym czasie o przyjęciu sierót uwiadomieni i do odstawienia tychże do Zakładu wezwani.

— W dniu 16 czerwca r. b. skończyło się lat trzydzieści panowania Piusa IX na Stolicy papieskiéj. Trzydzieści lat rządów to rzecz niezwykła, tem więcéj— skoro całe panowanie Piusa IX nie upływało w spokoju, nieznacznie, ale pełne jest wielkich czynów, niezmiernie ważnych dla Kościoła katolickiego. Żaden z papieżów po św. Piotrze nie siedział tak długo na Stolicy Rzymskiéj, rzadko zaś który podczas swego papiestwa dokonał tylu dzieł, co Pius IX. Słusznie też nazwać Go można Wielkiem papieżem! Dzień szesnasty czerwca r. b. to chwila nader uroczysta i radosna dla całego świata katolickiego, a więc i dla nas, Polaków, a więc i dla Ciebie, ludu Polski! Wszyscy w dniu tym zanosili do Boga modły, za Piusa IX. Z tymi modlącymi się połączmyż się i my; błagajmy Stwórcę, aby nam w jak najpóźniejsze lata uchował ukochanego naszego Papieża, aby Go darzył ciągłem zdrowiem. Te szczere i gorące modły nasze niech starczą za wszelkie życzenia, jakie złożyć możemy Piusowi IX w trzydziestoletnią rocznicę Jego panowania na Stolicy Piotrowéj.

— O znalezieniu rogu wielickiego piszą do dziennika "Czas" z Wiednia: Róg górników wielickich został znaleziony. Policya wiedeńska wezwana podobno przez prof. Łepkowskiego z Krakowa, korzystała z poszukiwań i dochodzeń wywołanych procesem Weiningera. Otrzymawszy pozwolenie przejrzenia zbiorów prywatnych zwracała wszędzie uwagę na róg wielicki, którego posiadała fotografię; jakoż znaleziono go w zbiorze Rotszylda. Ten zeznał, iż nabył go w handlu starożytności Picka w Wiedniu, który utrzymuje, iż kupił go od dwu Polaków i żądał od nich wylegitymowania się, w skutek czego jeden zostawił bilet osoby znanéj w Krakowie, ale dziś już zmarłéj, a która podobno wcale nie była w Wiedniu. Wiadomości te przesłano już podobno władzom krakowskim; są one oczywiście nie zupełnie dokładne, gdyż śledztwo jest w toku, a co najważniejsza, że jak słychać, policya jest podobno na tropie sprawcy. Zwracają tu uwagę na tę sprawę, gdyż wplątanie Rotszylda mimo jego woli, zajmuje stolicę. Dziwią się tylko, iż pierwotne dochodzenie przedmiotu tak wielkiéj wartości zostało tak łatwo zaniechane.

— Otrzymaliśmy z Londynu szczegółowy raport o strasznym losie, jakiego doznało 8 rodzin włościańskich (liczących razem 29 dusz), pochodzących z Trzcinicy pow. Jasielskiego, których ajenci hamburscy obrabowali z pieniędzy i bez grosza wysadzili na ląd w Bostonie w sobotę 20 maja rb. Ludzie ci wycieńczeni głodem płyną obecnie kosztem bostońskiego towarz. dobroczynności napowrót do Europy.

— Dnia 8 czerwca około $2^1/_4$ godziny popołudniu wybuchł pożar w Dublanach pod Lwowem. Ogień był tak gwałtowny przy wietrze dość silnym, że objął w jednéj chwili wszystkie zabudowania gospodarskie i chałupę pewnego gospodarza, i gdyby nie natychmiastowa pomoc pp. słuchaczy wyższéj szkoły rolniczéj, byliby nie tylko sąsiedni gospodarze mocno ucierpieli, ale mogłaby była cała wieś spłonąć. Narażając własne życie z całem poświęceniem wśród ognia wielu z panów słuchaczy siekierami i hakami palące się belki z dachu ściągali, drudzy ustawiwszy łańcuch potrzebną wodę do sikawki dostarczali, przez co zatamowali dalsze szerzenie się ognia.

— Pocieszenie. Chłop. Proszę pana sędziego, muszę błagać o pomoc i opiekę, Tomek, syn mego sąsiada grozi, że mię zabije. Proszę go téż ukarać. Sędzia. Ja na to nic nie poradzę, jeszcze do tego nie przyszło, gdyby jednak tak się stać miało, możesz być pewnym, że sprawiedliwość będzie wymierzona. Chłop. Bardzo pięknie dziękuję panu sędziemu — dobre to dla mnie pocieszenie.

— Lekarstwo na pluskwy. Posiadacz hotelu do odjeżdżającego gościa: Czy pan byłeś zadowolony? Gość: Z jedzenia i napojów zupełnie, ale czemu pluskw u siebie nie wygubisz. — Gospodarz: Próbowałem wszystkiego, ale naprózno.— Gość: Jabym podał najlepszy środek: Przedłoż każdej pluskwie taki jak mnie rachunek, a pewnie żadna więcéj nie wróci.

Przypowieści Króla Salomona.

„Syn mądry rozwesela ojca; ale syn głupi smutkiem jest matki swojej.“

„Ścieżką żywota idzie, kto przyjmuje karność; ale kto gardzi strofowaniem (karceniem), w błąd się zawodzi.“ (X, 1. 17.)

Kto to czyta, niech dobrze rozważy!

— **Ceny zboża.** Pszenica biała polska od 10·00 do 12·50, podolska od 9·00 do 12·00, żółta od 9·75 do 12·25, czerwona od 9·75 do 12·50 — żyto polskie od 9·50 do 10·25, podolskie i rosyjskie od 9·25 do 10·25, jęczmień 8·00 do 8·50, groch od 8·25 do 9 25, owies od 11·75 do 12·35, rzepak od —·— do —·—.

OD REDAKCYI.

☞ W bieżącym miesiącu skończy się 1-sze, a rozpocznie 2-gie półrocze naszego wydawnictwa. A że mamy znaczne zaległości za przesyłane Szan. Czytelnikom czasopisma, przeto upraszamy o zrealizowanie takowych w celu wyrównania rachunków z drukarnią, której z naszej strony winniśmy zobowiązania za druk i papier.

Wydawca: S. Jordan.
Redaktor odpowiedzialny: *Antoni Bolesław Koziański.*

W drukarni W. Korneckiego w Krakowie.